

Boję się demonów. Jak każdy lękam się stworów i zjaw krążących wokół naszych dumnie noszonych peryskopów na żyłastych wyciągnikach. Mijam je dzień w dzień, na ulicach, przedpokojach i między parkowymi alejkami. Czekają na mnie przyczajone. Z ich wylupiastych oczu, strugami wypływa krew, która barwą przypomina kolor kasztanów ukrytych w szafach na zimę. Demony jak smutek, zjawy jak lęk, stwory jak żal, są i czekają na naszą słabość, brodząc w swej farbie. Wynurzają się zza koców rzuconych za fotel. Klękają przy uchu i proszą, by się nimi zaopiekować, by chociaż przez parę minut, побыć z nimi sam na sam. Wiszą nad nami w autobusach, w ciemnych zaułkach wyobraźni. Czasem chowają się w kącie pokoju, by za moment latać w naszych myślach i grzebać w nich swoimi brudnymi pazurami. Szarpiają za receptory, zmieniają smaki na kubkach smakowych. Drążą tematy błahe i niebezpieczne. Tak, zdecydowanie kochają niebezpieczne tematy, takie, które gwałtownie spadają z czwartego piętra na głowę, która pęka i wylewa się krwią, krwią brązową jak jucha z ich ślepi. Bawią się naszymi kącikami ust, unoszą je, to w górę, to w dół. Śmieją się czasem za nas, szaleńczo wyjąc z radości, a później ulewają się z nas kropelkami spoconych oczu. Takie bywają te cholery. Nie pomoże byle jaka kurwa, i nie odgoni ich głucho spierdalaj.

Bywamy marionetkami w ich wprawnych paluchach, które pociągają płynnie za sznurki i kierują naszymi krokami, nie tylko do biur i kościołów. Są wszędzie, patrz uważnie. Nie nasłuchuj ich dyszenia, wielu próbowało, a kto spróbował odnaleźć w sobie ich oddech, ginął w nieznanym górach. Za ich wierzchołkami, ukrytymi ponad deszczowymi chmurami, są schowane truchła wszystkich tych, którzy nasłuchiwali strasznego sapania z nozdrzy demonów.

Byłem raz w drodze na szczyt takiej góry. Widziałem już chmury, wchodziłem jakby w duszne powietrze przy odcędzaniu ziemniaków. Nie pachniało wykopkami ani słońcem, ani nawet nie czuć było drewna, z jakiego wykonano sanki. Ta góra była magnesem, łączyły same napływały, dreszcze brały się z chłodnego powietrza, a żal było każdej minuty, spośród wszystkich straconych minut na ziemi. Tak zwykle zaczyna się przygoda z demonem. Kto zabłądzi, ten nie powróci.

Gdy wędrowałem, trafiła mnie szczęśliwa strzała, małego diabełka z białymi skrzydełkami. Sprowadził mnie diabełek tą strzałą na ziemię. Nie pozwalał patrzeć tęskno na górę. Kazał mi myśleć o tym, co mógłbym stracić i kazał walczyć, ale demony nie chciały odpuścić. Krążyły częściej przy uchu, tamte wchodziły w myśli i grzebały w nich starannie, by znaleźć tam uraz, który pozwoli zwabić mnie na szlak. Zjawy w snach powracały co noc, a każdej nocy zdawały się groźniejsze. Nie pomagały modlitwy, piersi kobiece, alkohol nawet nie potrafił uśpić duchów ze snów nieczystych sił. Nadszedł dzień błądy, wilgotny i szeptał na moje ucho. W moją małżowinę szeptał demon, żebym spakował plecak i wszedł z nim na górę. Chciał pokazać mi krew brązową i kości słabych. On mówił, pamiętam dokładnie, jak mówił, że ja jestem silny i nie skończę jak inni. Kazał też założyć zbroję, która ochroni mnie przed dośrogiem diabełkiem. Szedłem przygnębiony i pełen obaw, na szczyt, w zbroi. Płakałem, tęskniłem, ale nogi niosły mnie w górę. Pioruny waliły w jodły i sosny, a wióry płonęły i spadały, topiąc się w trzeszczącym płaszczu wierzchołka. Mróz był, krążyły demony, zjawy, przeklęte stworzenia, a głos z tyłu głowy szeptał w kółko o mojej sile i jego wierze w moje lęki i smutki. Prosił, potem krzyczał, żebym wszedł we mgłę, że nie ma odwrotu. Wrony spadały z nieba, boże, martwe ptaki pod moje nogi. Demon śmiał się, krzyczał, że znak to dobry, mój lęk, wióry, smutek i oczy istot na dole. Krążyłem umysłem ponad światem, szukałem mojej małej Patrycji, jej piersi, ale były tylko zjawy, które gwałtownie szarpały me myśli i strąciły w kąt pokoju, z którego nigdy same przyszły. Zrobiłem krok we mgłę, rozpętała się wichura,

jakby Bóg nakazał halnym, po raz ostatni nakazał, by zawrócić i nie lękać się demonów i wąpić we wszystko, o czym zjawy huczą. Było za późno, moje stopy zdrętwiały, moje serce zaczęło plamić zbroję, tą przekłętą brązową krwią, a demony szalały wśród jodeł i świerków, płonących i złowrogich.

W tej mgle nic nie było, tylko piekielne ślady stóp, jakby smoczyc, jakby sam diabeł był demonem, który na łańcuchach moich lęków ciągnie mnie za ręce, szyję, za nogi i zjawia mnie ciągnie w górę na szczyt, by zatopić moje zmarzniete ciało w śniegu. Palce demona trzeszczały, oczy miał bledsze niż mgła, a jego oddech był mocniejszy niż wiatr. Koc, plecak, kawa - on tym wszystkim rzucił w szczelinę, a mnie złapał, chwycił za sznur i pociągnął gwałtownie w górę, aż prawy but mi upadł na ziemię.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

szybki_pisarz, dodano 17.12.2016 11:56

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.